№ 35. Warszawa, dnia 14 (26) Sierpnia 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

GALLA PLACYDYA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

przez K. P.

OSOBY:

Galla Placydya, siostra Cezara Honoryusza.
Ataülf, wódz Wizygotów obrany królem.
Vernulf, drugi wódz Wizygotów.
Constantius, Rzymianin, poseł Cezara.
Ruffus, naczelnik straży Honoryusza.
Giulia, powiernica Galli Placydyi.
Wodzowie, żołnierze goccy i rzymscy, dziewice rzymskie.

Rzecz dzieje się w I-m akcie w Rzymie w 410 roku, w II-m i III-m akcie w Bruttium we Włoszech, w akcie IV-m w Barcelonie.

AKT I.

Scena przedstawia obszerny pokój w Palatynie, ubrany z całym przepychem rzymskim. Z dwóch stron sceny drzwi a z trzeciej okna.

SCENA I.

Placydya chodzi z niepokojem, zatrzymując się chwilami; koło okna stoi Giulia, w głębi kilka dziewic i niewiast rzymskich.

Placydya (z przejęciem).

Wszystko stracone i Roma upadnie!
Dziki Alaryk na swe barki włoży
Naszą purpurę i tron nasz owładnie!
Na placach Romy swój obóz rozłoży!

(zwracając się do Giulji).

Czy słyszysz Giulio głuchy szczęk oręża,
I jęki rannych, zwycięztwa okrzyki?
Pewno Wizygot już naszych zwycięża,
Rozprasza legje i łamie ich szyki!
Upadku Romy godzina wybiła,
Jej sława, wielkość — wszystko to zaginie,
I świetna przeszłość na zawsze przeminie!
A jam umyślnie do Rzymu przybyła,
By z ludem krwawe staczającym boje,
Trwogi, niepokój, razem podzieliła,
By z jego losem złączyć losy moje!...

(słychać tentent koni — z przerażeniem).

Giulio! czy słyszysz? jakiś orszak leci!
Pewno Alaryk już do miasta wpada,
A z nim tych tłumów, tych dzikich gromada!

(przystępuje do okna).

Patrzaj przez okno, widzisz jak tam świeci
Zbroja stalowa? to są Goty może?
A lecą ku nam!...

(wszyscy spiesznie zbliżają się do okna).

Giulia.

O łaskawy Boże!
Cóż my poczniemy?

Jedna z dziewic.

Więc miasto zajęte?

Chór.

Biada nam! biada!

Giulia.

Już pewno odcięte
One posiłki, które nadejść miały
Na odsiecz Rzymu....

Placydya.

I ostatnie wały
Zająć musieli...

Giulia.

Lecz nie, to nie oni!

Jedna z dziewic.

Nie oni?

Placydya.

Boże! więc Roma zostanie
Wyswobodzoną?

Giulia.

Poznaję po broni...
I orły widzę; to są pretoryanie!

Placydya.

Próżna pociecha, to ci się tak zdaje!
Niestety Giulio! twój wzrok ciebie myli,
I pewna jestem. Bo rzymscy rycerze
Zkądże by tutaj w tej porze przybyli?...

(po chwili milczenia).

Lecz widzę teraz, i ja ich poznaję,
O wielki Boże! swym oczom nie wierzę!...
Tak! to Rzymianie! to straż brata mego
Hufiec z Rawenny! wątpliwości nie ma!...
Wiozą mi wieści zapewne od niego.
Widzę ich! widzę! własnemi oczyma,
Lecz oddział mały... Czyż mógł stawić czoło
Gotów zastępom?... Wszak walka wre w koło,
A oni tutaj?...

Jedna z dziewic.

Tak, tutaj zdążają.

Giulia.

Ja się nie mylę!

Placydya.

Czarne zbroje mają,
To proteryanie...

Giulia.

A pewnie stoczyli
Zaciętą walkę, nim tutaj wstąpili
W Rzymu ulice; bo ich zbroja cała,
Krwią ozbryzgana; więc nim się przedarli
Przez obóz Gotów, to krwawo się starli
Z barbarzyńcami.

Placydya.

Patrz, drużyna mała
Tutaj stanęła... Może oni mają
Listy od brata? idź, niech spiesznie dają.

Giulia.

Biegnę natychmiast. (wychodzi).

Jedna z dziewic.

Oby dobre wieści
Były przynajmniej, litości o Boże!

(Odchodzi z drugiemi w głąb sceny).

SCENA II.

Placydya (sama).

Dziwna obawa i straszne zwątpienia,
Me biedne serce znowu ogarniają,
Rozpacz szalona w mej duszy się mieści,
Nigdzie nadziei!... i teraz znów może,
Nowe ach bóle i nowe cierpienia
Mam przebyć jeszcze? Bo jeśli się zdają
Na łaskę Gotów, obrońcy ostatni
Ginącej Romy!... jeśli uścisk bratni
Ma odtąd Rzymian połączyć z Gotami,
To klątwa Boga zawisła nad nami!...

(po chwili milczenia).

Może brat poległ, lub w niewolę wzięty,
Może... Jednego przypuścić nie mogę:
By przez nikczemną obawę lub trwogę,
On mógł przepomnieć obowiązek święty,
I przez haniebne z wrogami układy
Pokój kupował! o nie! takiej zdrady
On nie jest zdolny!...

(z rozpaczą)

O gdyby tak było!...
Śmierć i przekleństwo!...

(wstrzymuje się — po chwili).

Ale nie, na Boga!
Co ja też mówię?... Co za myśl złowroga
Bratu nie ufać?... Czyżby w nim nie biło
Serce Cezarów, co zawsze szlachetne,
Wiodło swe ludy na boje, na świetne
Tryumfy? Rzymską purpurę on może
Na barkach swoich utrzymać bez sromu,
Skazić nie zechce sławy swego domu!...

(chodzi z niepokojem — po chwili milczenia).

Chciałabym wiedzieć, a pytać się boję,
Sławę czy hańbę oni mi zwiastują,
W tobie o Boże! składam losy moje!

(podchodzi ku drzwiom i słucha).

Ot już nareszcie na schody wstępują!

(odchodzi i staje—z przejęciem).

Ale jeżeli to są smutne wieści,
Jeśli mnie dotknie nowy grom boleści,
O Boże wielki! ty mi dodaj siły
Bym je znieść mogła odważnie i śmiało,
Tak jako dzielnej Rzymiance przystało,
By mi te klęski ducha nie zabiły!

(Wchodzą: Giulia, Rufius i kilku rycerzy ze straży Honoryusza, wszyscy uzbrojeni).

SCENA III.

Placydya, Giulia, Rufius i rycerze rzymscy.

Rufius (zbliżając się do Placydyi).

Przezacna pani! pokłon oddajemy,
I od Cezara wiadomość wieziemy.

Placydya.

Więc cóż tam słychać, co tam jest nowego?

Rufius.

Niestety pani! nie ma nic dobrego.
Cesarz Honoryusz w Rawennie zamknięty,
Aby dopełnić obowiązek święty,
I wygnać Gotów, swe legie zwołuje
I wojsko zbiera. A wszystkie swe siły
Gdy już zgromadzi, wyprawę gotuje.
Lecz Rzym przez słabą załogę broniony,
Co chwila padnie. Już mur rozwalony
Co go otaczał...

Placydya (ze smutkiem).

I legie pobite
Które na odsiecz przysłane tu były?

Rufius.

Wszystko stracone, okopy zdobyte.

Placydya.

Jakto, więc wszystko byłoby stracone
I bezpowrotnie już Roma zaginie?

Rufius.

Roma nie zginie, choć mury zburzone,
A choć ją zajmą, zdobędą na chwilę,
Ja mam nadzieję, że zła dola minie.
Ale na teraz nie oprzem się sile,
Potędze Gotów; ja jestem przysłany
Bym mógł się z tobą Placydyo naradzić,
W jaki Cię sposób można uprowadzić
W pewne schronienie i miejsce bezpieczne,
I spełnić rozkaz od pana mi dany.
Chwili więc jednej nie należy zwlekać,
Goty zdobędą to miasto odwieczne,
Na nich więc tutaj nie możemy czekać.
Ja ochotników przybrałem do siebie,
Przez obóz Gotów przedarłem się z niemi,
Stu mężów legło, a ze stu drugiemi,
Chcę Cię ratować, lub umrzeć dla Ciebie!...
Lecz tu są listy...

Placydya (czyta—po chwili).

Waleczni rycerze,
Za wasze męztwo dziękuję wam szczerze,
Za waszą wierność dla brata mojego
I dla mnie. Za tę ofiarę dziękuję...

Rufius.

Dla ciebie pani poświęcimy życie,
Choćby natychmiast, na twoje skinienie...

Placydya (przerywając).

O! szkoda życia i zdrowia waszego
Dla mnie poświęcać...

Rufius.

I będziem sowicie
Już nagrodzeni, gdy zginiem dla Ciebie,
I Ciebie zbawim, poświęciwszy siebie.

Placydya.

Tego nie przyjmę. Ja tu oczekuję,
I czekać będę co zeszlą niebiosy:
Tryumf narodu czy srogie cierpienia!
Rzymu opuścić nikt mnie nie zniewoli,
Ludu rzymskiego będę dzielić losy,
I tutaj zginę, lub może w niewoli,
Pęta poniosę, bo dla mnie to święty
Jest obowiązek!

Rufius.

To tylko ofiara
A nie powinność, poświęcenie wielkie!

Placydya.

O nie rycerzu! Jeśli Niebios kara
Ścigać nas będzie. Jeśli Rzym zajęty
Padnie przed wrogiem i już środki wszelkie
Pewnej obrony będą nam wydarte,
Na co mi życie i swoboda moja,
A takie życie czegóż będzie warte?...

Rufius.

Gallo Placydyo! ta ofiara twoja
Szczytna i wielka, Romy nie uchroni,
Uchodźmy raczej. Jeszcze wolna droga
Pewnej ucieczki, nieznana przez wroga,
A gdy się dowie, to jego pogoni
My się nie boim, bo tam o staj parę
Jest silny oddział...

Placydya.

Nie! tego nie zrobię,
Nikt mnie nie zmusi! Bo ja klnę się tobie
Że pozostanę! O! zniosę tę karę
Co zsyła Niebo, odważnie i śmiało,
Jako na córkę Cezarów przystało!
A może zdołam obecnością moją
Rozbudzić zapał u rzymskiego ludu
Do śmielszej walki, i doczekam cudu!...

Rufius.

Nic nie pomoże.

Placydya.

Czemu?

Rufius.

Bo się roją
Gotów zastępy, niedługo, za chwilę,
A opór Rzymian złamanym już będzie!

Placydya.

A może zwalczym...?

Rufius.

Nie! przeciw ich sile
Rąk nam nie starczy, tam, na murach wszędzie
Już Goty stoją, błagamy więc Ciebie
Placydyo! usłysz Cezara wezwanie,
I na śmierć pewną nie narażaj siebie,
Albo niewolę!...

Giulia.

I moje błaganie
Wysłuchaj pani; w kwiecie twej młodości
Na co ci ginąć? A może w przyszłości,
Bóg ci nagrodzi te zwątpienia chwile,
I twoją rozpacz i boleści tyle!

Rufius.

Inaczej zginiesz! lub w ciężkiej niewoli
Wróg cię zatrzyma...

Giulia.

I z twojej niedoli
Urągać będzie!...

Placydya.

Niech co chce się stanie!
Niechaj się spełnia losów przeznaczenie!
Ja tu zostanę!... i moje zadanie
Spełnię do końca!

Giulia.

Twe postanowienie
Śmierć ci gotuje!

Rufius.

(przysłuchuje się z uwagą — po chwili).

Już walka się toczy
Na placach Romy, już Goty się wdarli
Do środka miasta, już naszych wyparli.
Uchodźmy spiesznie, a wróg nas nie zoczy.
Ujść jeszcze możem... lub zginąć nam trzeba!...

Placydya (spojrzawszy przez okno).

Patrzaj czy można...

(Wszyscy zbliżają się do okna).

Giulia.

To Goty!

Rufius.

O Nieba!
Przekleństwo na nich! już wszystko stracone!

Placydya (z wyrazem największej boleści).

Tak, starej Romy już mury zburzone!...
Wszędzie ruina!... już w gruzach świątynie
Sława Cezarów na zawsze zaginie,
Za dawne grzechy już spełniona kara!

Rufius.

Ach! co mam czynić?

Placydya.

Wracaj do Cezara,
Jeżeli jeszcze swobodna jest droga,
I powiedz jemu, zaklnij go na Boga,
Niechaj oręża nie wypuszcza z dłoni,
I na hańbiący układ nie przystaje.
Niech do ostatka władzy swojej broni,
Lecz sławy ojców dla niej nie sprzedaje,
Gardzi pokojem hańbą okupionym,
Albo zwycięztwy Gotów wymuszonym!

Rufius.

Tego nie zrobi! lecz pragnie wybawić
Ciebie Placydyo! i gotów jest stawić
Ostatnią legję, by Ciebie ratować!

Placydya.

O! mnie jeżeli zabiorą w niewolę,
I trzymać zechcą, jako zakład nowy
Ustępstw korzystnych; i będą traktować
O wolność dla mnie; na moją niedolę
Niechaj nie zważa i swoją powinność
Zawsze wypełnia, a bez względu na mnie!
Niechaj do ofiar on będzie gotowy!

Rufius.

Lecz ty Placydyo?...

Placydya.

Ja! wszelką przeciwność
Potrafię znosić co mi zeszlą losy,
Tylko nie zniosę wstydu lub niesławy!
Shańbionej na się purpury nie włożę!
(słychać wzmagający się szczęk broni).

Rufius.

Placydyo!

Giulia.

Pani ty moja!... O Boże!
Za cóż tę karę zesłały Niebiosy?!

Rufius (patrząc przez okno).

Alaryk blisko; patrzcie! jak bój krwawy
Na placach Romy, już tutaj się toczy!
Kohorty Gotów w szalonym rozpędzie
Ku nam zmierzają...

Placydya.

Palatynu mury
Runą niedługo!...

Rufius.

Wszędzie krew je broczy!
I legie rzymskie już odparte wszędzie!
Gotów zastępy, jakby czarne chmury,
Coraz się bliżej tutaj podsuwają!

Giulia (z przerażeniem).

Ratunku nie ma!...

Placydya.

Niestety! żadnego!
Rzym już jest w rękach najezdzcy dzikiego!

Rufius (zwracając się do Placydyi).

Nie mogę pani tak opuścić ciebie!
Z moim oddziałem, ja stanę przed progiem
Twego pałacu; niech go zdobywają!
Krwawo zapłacą! Ja poświęcę siebie,
Rozpaczą silny, tam zmierzę się z wrogiem!
Chyba ze śmiercią tylko ustąpię im kroku!

(do żołnierzy).

Za mną rycerze, bo Goty już blizko!...
Każden niech zajmie swoje stanowisko,
I wejścia broni...

(wszyscy spiesznie wybiegają).

(d. c. n.)

DO ***

(W rocznicę poznania).

Rok mija gdym cię poznał... gdyś mi się zjawiła,
Po czarnej życia nocy, jak gwiazda poranna,
Jak zwiastunka dni nowych... I wtedy ożyła,
Dusza moja ciosami morderczemi ranna.

A był to dzień Trzech Króli; pamiętam, ty w gronie
Pięknych kobiet, najżywsze rozsiewałaś blaski,
Światłem co na *wybranych* tylko czołach płonie,
Widzialnem tylko tym co godni Bożej łaski.

Wzrok mój utonął w tobie. Tak gwiazda Zbawienia
Wschodnich magów do ziemi Betleemskiej wiodła,
I nowy świat dla ludów powstał z jej promienia,
I dusz braterstwo w Imię chrześciańskiego godła.

Rok ten był dla mnie wiary i zwątpienia rokiem,
Przyniósł mi szczęścia jutrznię, trwogę i nadzieję:
Kiedyż mi słońce zejdzie nad chmurnym obłokiem?
Kiedyż lepszego życia dzień mi zajaśnieje!...

SAMOBÓJSTWO.

(Maurycy hr. Dzieduszycki, członek Akademji krakowskiej. Samobójstwo. We Lwowie 1876. Nakładem księgarni Wł. Bełzy).

Gdyby sama nowość tematu w pospolitem tego słowa znaczeniu, miała rozstrzygać o literackiej wartości najnowszego dzieła hr. Maurycego Dzieduszyckiego, nie zasługiwało by ono na obszerniejszą wzmiankę. Na wstępie swojego dzieła mówi sam autor, że „dzieł i rozpraw bądź wyłącznie, bądź okolicznościowo samobójstwem zajętych, a pochodzących od teologów, moralistów, filozofów, psychologów, medyków, fizyologów, prawników i statystów, we wszystkich niemal europejskich językach, dałby się utworzyć spory księgozbiór.“ Jakżeż bowiem nie miał wytworzyć się taki księgozbiór, skoro samobójstwo jest chorobą która trapi ludzkość od kolebki do dzisiejszych czasów, a cywilizacya szczycąca się tylu wielkiemi dziełami około dobra i bezpieczeństwa tak całych społeczeństw jak i jednostek, nie zdobyła się dotąd na żaden środek zaradczy, co więcej nie zdołała nawet powstrzymać tej choroby od ciągłego wzrostu? Bo że samobójstwo dziś nierównie więcej grasuje we wszystkich krajach Europy, że sztuka odbierania sobie życia wydoskonala się nieustannie i wzbogaca się nowemi środkami, to nie ulega żadnej wątpliwości, to wykazują współczesne kroniki miejscowe wszystkich dzienników europejskich i po za europejskich. Tylko w motywach nie zaszła żadna zmiana, bo namiętności ludzkie które popychają do kroków samobójczych, pozostały zawsze jednakowe.

Biorąc przedmiot w tem znaczeniu, jest on zawsze świeżym i wdzięcznym tematem dla pisarza, który z jakiegokolwiek stanowiska umie badać głębiej i samodzielnie naturę ludzką ze wszystkiemi jej dodatniemi i ujemnemi stronami. Nie dziwilibyśmy się nawet wcale, gdyby za granicą, gdzie dziś nie mal każdy dział wiedzy i czynności ludzkiej ma specyalne organa, gdzie nawet chów szparagów lub hodowla drobiu wypełnia łamy czasopism fachowych, znalazł się jaki przedsiębierca dziennikarski, polujący na dojrzewających i gotowych kandydatów do samobójstwa.

Polska literatura o samobójstwie jest jeszcze bardzo ubogą, czem może nie potrzebujemy się martwić, bo jestto zapewne dowód że ta okropna plaga ludzkości mniej u nas grasuje niż w innych społeczeństwach. Hr. Dzieduszycki zapewnia, że o ile wie, nie ma w polskiej literaturze ,,wywodniejszej pracy o samobójstwie.“ Zdaje się nam jednak, że nie dawno pojawiła się książka na ten temat przez lekarza napisana. Być może iż i ona nie zasługuje na nazwę pracy wywodniejszej, ale choćby nawet na to zasługiwała, to jeszcze nie czyni to ujmy dziełu hr. Maurycego Dzieduszyckiego. To pewna bowiem że nie ma dotąd dzieła polskiego, któreby jak książka hr. Dzieduszyckiego rozbierało przedmiot z rozmaitych stron, i podawało czytelnikowi tyle głębokich wskazówek i uwag, prawdziwych a ciekawych dat, wreszcie wniosków trafnych i samodzielnych.

Że w dziele hr. Dzieduszyckiego przeważa część historyczna, to usprawiedliwia zupełnie stanowisko pisarskie autora. Jako historyk, hr. Dzieduszycki mógł jednostronne zbadanie kwestyi samobójstwa w kierunku historycznym postawić sobie tem śmielej za cel swojej pracy, ile że historya jak wszędzie tak i tutaj jest wyborną mistrzynią życia, nastręcza mnóstwo ciekawych objawów, kopalnię materyałów do głębszych wniosków, a nieraz nawet daje klucz do wyjaśnienia trudnych zagadnień psychologicznych. Zresztą wszechstronne zbadanie i opracowanie tego przedmiotu, jest dla jednego człowieka choćby obdarzonego pracowitością niesłychaną, zadaniem prawie niepodobnem do spełnienia. Psycholog, lekarz i statystyk, ma ją tu sposobność do wielu nowych spostrzeżeń, poglądów i usiłowań pogodzenia sprzeczności, które w wielu wypadkach samobójstwa jaskrawo w oczy wpadają.

Historyczna część rozprawy hr. Dzieduszyckiego zaczyna się od poglądu na świat przedchrześcijański. Rozdział ten stanowi w porównaniu z ostatnim, poświęconym dzisiejszemu stanowi rzeczy, upokarzający dla ludzkości dowód, że nowoczesny prąd cywilizacyjny został w niejednym kierunku spaczony, i zamiast obdarzyć ludzkość samemi dobrodziejstwami, wszczepił w nią jad trudny do wykorzenienia. W czasach przedchrześcijańskich, a jeszcze więcej w pierwszej epoce tryumfującego chrystyjanizmu, samobójstwa były rzadkością a nie jak dziś wypadkiem pospolitym; samobójcy rozstawali się ze światem w oczach ogółu jakby na czci splamieni, nie jak dziś: żałowani a często nawet jako bohaterowie wielbieni. Ale idźmy równym krokiem z autorem.

W żydowskiem społeczeństwie w najdawniejszych czasach a nawet i obecnie, samobójstwo należało do wypadków bardzo rzadkich. Czy stały wstręt do samobójstwa jest dziełem tego nieugiętego konserwatyzmu, jakim naród żydowski na każdym kroku się odznacza, tego autor nie wyjaśnia; dość na tem, że społeczeństwo żydowskie szanowało zawsze i obecnie szanować nie przestało przykazania Boskiego: ,,nie będziesz zabijał“ w tem znaczeniu, iż nie należy nawet targać się na własne życie. Przykłady Samsona i Eleazara nie osłabiają powyższego twierdzenia, choć obaj szukali śmierci z własnej ręki i znaleźli ją rzeczywiście. Ażeby zgon obu tych bohaterów nazwać samobójstwem, trzebaby zdaniem autora nie odróżniać egoizmu od poświęcenia, występku od cnoty. Samobójca ma głównie na względzie siebie, kiedy poświęcenie ma jedynie na celu dobro powszechne, dobro wiary, ojczyzny lub bliźnich. Samson ginący pod gruzami zawalonej przez siebie świątyni wraz z wrogami Żydów, Filistynami, i Eleazar rzucający się w szeregi nieprzyjacielskie na śmierć pewną, ale tem samem torujący drogę swoim ziom-

kom do zwycięztwa, byli i są bohaterami, szczytnemi przykładami poświęcenia dla wyższego celu, dla dobra swojego narodu. Takimi bohaterami są także Kodrus, Kurciusz, Deciusz i Arnold Winkelried, chociaż wszyscy sami rzucali się w objęcia śmierci.

Grecy mieli zdrowe pojęcia o samobójstwie, dopóki filozofija nie popadła w schlebianie nagiemu materyalizmowi. Pitagores, Sokrates i Platon, uważali samobójstwo za czyn występny w obec społeczeństwa. Ale Epikur i Zenon skazili obyczaje, więc pomącili zarazem pojęcia o samobójstwie. Rzymianie wcześniej od Greków popadli w stan zepsucia, więc wcześniej od nich pogodzili się z samobójstwem, które powoli za czasów cesarstwa zmieniało się niemal w zwyczaj codzienny.

W świecie chrześcijańskim samobójstwo stanęło w obec zasad religji na równi z zabójstwem. Słowa Zbawiciela: „Nie zabijaj... miłuj bliźniego twego jak siebie samego" nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości. Autor objaśnia te słowa Pisma św. licznemi cytatami zdań apostołów i ojców kościoła, a w końcu powołuje się na sobór trydencki. Czy ten obszerny teologiczny aparat dowodowy był potrzebny, czy nie zajął on za dużo miejsca, które mogło być lepiej użyte na dotknięcie innych pominiętych stron tematu? Autor ma bardzo smutne wyobrażenie o religijnem i moralnem usposobieniu dzisiejszego pokolenia, więc zapewne przypuszcza, że w tej chwili nawet odwiecznych axiomatów nie można bez dowodów powtórzyć umysłom chorującym na niedowiarstwo.

Herezye, które od Wiklefa jakiś czas nieustannie nawiedzały świat chrześcijański w rozmaitych formach, przysporzyły samobójstwu wielu nowych zwolenników, bo podniosły zasadę bezwzględnego i nieuchronnego przeznaczenia.

Wiekowi ośmnastemu poświęca hr. Dzieduszycki osobny rozdział, gdyż jako wielki, teoretyczny i praktyczny zwolennik i apostoł takich czynów, zasłużył sobie na to odszczególnienie. Pojęcia tego wieku o samobójstwie, zaczerpnięte z nauki Epikurejczyków i Stoików a pomieszane z teoryami późniejszemi, odzwierciedlają się najlepiej w słynnem dziele Jana Jakóba Rousseau *Nouvelle Heloise*. Bohater tej powieści, Saint-Preux, podaje w listach swoich formalny traktat o samobójstwie, streszczający w sobie wszystkie argumenta, któremi czyn ten od wieków stara się okrasić sofistyczne rozumowanie i fałszywe pojmowanie obowiązków człowieka w obec siebie i swego społeczeństwa.

Człowiek według tego traktatu jest panem swego życia tak samo jak każdego członka. Jeżeli dla ocalenia życia można się pozbyć członka, to dlaczegóż niewolnoby pójść za głosem przyrodzonego prawa i pozbawić się życia, jeżeli ono stało się nieszczęściem, ciężarem trudnym do zniesienia. Bóg dał człowiekowi rozum, sumienie i wolność działania, więc korzysta on tylko z tych darów odbierając sobie życie nie mające wartości ani dla niego ani dla drugich. Słowa pisma św.: „Nie zabijaj" zawierają tylko zakaz zabójstwa, ale nie mają zastosowania do samobójstwa.

Przyjaciel, do którego Saint-Preux list ten pisze, odpowiada na argumenta w duchu całkiem przeciwnym, ale obrona samobójstwa jest nierównie zręczniejszą niż filipika, więc na czytelników pism Rousseau'a pierwsza silniej wpływać musiała. Rzecz dziwna, Encyklopedya Diderota, będąca wiernym wyrazem całej swawoli w moralnych pojęciach XVIII wieku, potępiła bezwzględnie samobójstwo, nazywając je czynem przeciwnym prawu natury i wrodzonemu instynktowi utrzymania się przy życiu, które nie jest własnością człowieka lecz tylko depozytem powierzonym mu przez Stwórcę. Samobójstwo nawet zdaniem encyklopedystów francuzkich narusza obowiązki jakie człowiek ma w obec rodziny, bliźnich, swego stanu i ojczyzny, nie wspominając już obowiązku w obec własnej osoby, t. j. obowiązku doskonalenia się.

Wszystkie jednak argumenta filozofów XVIII stulecia nie wyrządziły ludzkości tyle złego, jak słynne dzieło Goethego *Die Leiden des jungen Werthers*, które w młodych umysłach współczesnej epoki wywołało formalną manię samobójczą. Ileż to młodych ludzi poszło wtedy za przykładem Werthera, typu ówczesnej młodzieży, pełnej, jak autor mówi, czułostkowości, marzycielstwa i niesmaku do życia, wywołanego zupełnym brakiem religijnego pozytywizmu. Gdyby Goethe był przewidział, ile ofiar egzaltacyi i namiętności nie mogących odzyskać w sobie utraconej równowagi moralnej, popchnie jego Werther do kroku samobójczego, pewnie wolałby był pozostać uboższym o jeden pomnik swojej wielkiej karyery poetyckiej.

W Polsce samobójstwo należało zawsze do rzadkich objawów i nie grasowało tak jak w innych krajach, nawet wtedy, gdy u schyłku niepodległości narodowej skażenie obyczajów szerzyło się coraz więcej, dzięki zbyt blizkiej styczności z zachodem i jego doktrynami ówczesnemi. Lud prosty nie ulegający zepsuciu, czuł zawsze wstręt do samobójstwa i objawiał to w swoich zwyczajach. Grób samobójcy w lesie zarzucano suchemi gałęziami a w polu kamieniami, na znak, że ten, który w nim spoczywa, jest potępieńcem. Lud wiejski omijał zawsze grób samobójcy, i uważał miejsce na którem samobójstwo spełniono, za bardzo nieszczęśliwe. To też kto chciał jeszcze w ostatnim tchu okazać nienawiść swojemu przeciwnikowi i wywrzeć na nim srogą zemstę, wieszał się w jego ogrodzie. Charakterystycznem jest także zdanie ludowe, że jeżeli silny wicher wieje to się ktoś powiesić musiał.

(*d. n.*)

Matka Margrabiny

HUMORESKA

przez Edmunda About

spolszczyła ELIZA S.

W dniu 15 kwietnia 1846 roku, we wszystkich znaczniejszych dziennikach paryzkich czytano ogłoszenie następujące:

„Młody człowiek z dobrego rodu, który lat dziesięć pracował nad nauką metallurgji i leśnictwa, pragnie otrzymać obowiązek odpowiedni swojej specyalności. Adresować do Paryża, poste restante, panu G. M. D. O."

W tym właśnie czasie bawiła w Paryżu wdówka średnich lat, nazwiskiem Benoit, właścicielka bogatej fabryki żelaznych wyrobów w wiosce Arlanżu, w Lotaryngji. Ale ta pani dzienników nie czytała. W prawdzie przybyła do Paryża w celu poszukiwań, lecz o zawiadowcę do fabryki nie troszczyła się wcale. Ona szukała męża dla córki, a gazety nie doszły jeszcze do tego stopnia użyteczności, ażeby w tym względzie usłużyć jej mogły.

Pani Benoit była to bardzo powabna osóbka, w całym rozkwicie tej powtórnej młodości, która nie wszystkich kobiet bywa udziałem, a której okres mieści się między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem. Pełne kształty twarzy i kibici nadawały jej pozór nad miarę rozwiniętego kwiatu, ale nikomu z patrzących na nią nie nasuwała się myśl o kwiecie więdnącym. Z czarnych oczu tryskało życie jak w latach dwudziestu; bogate zwoje ciemnych włosów nic nie straciły ze swej obfitości i połysku; dwa rzędy białych równiutkich perełek, chętnie wyglądające z po za ust rumianych, nie wykrzywiły się ani przydłużyły bynajmniej; twarz powabnych zarysów jaśniała zdrowiem i tą świeżością jędrną i gładką, która wyróżnia dojrzałe piękności od młodziutkiego liczka, owianego delikatnym puszkiem jak kwiatek wiośniany. Białości ramion i szyi nie jedna młoda piękność mogłaby jej pozazdrościć; nóżka wprawdzie spłaszczyła się cokolwiek pod naciskiem okazałej kibici, ale za to pulchna biała rączka świeciła z pod bransoletek i pierścieni jako jeden klejnot więcej.

Przymioty jej duchowe zgadzały się z pełną wdzięku powierzchownością. Żywość dowcipu wyrównywała żywości oczu, wesołość malująca się w obliczu wrodzoną była w jej charakterze, uśmiech szczery nieustannie zdobił jej usta, a dłoń do hojnego datku zawsze była gotową. Dobry humor i życzliwość dla wszystkich czyniły ją w obcowaniu wielce zajmującą i przyjemną.

Ale że nic nie ma doskonałego pod słońcem, pani Benoit miała także wadę, — wadę niewinną, która do tego czasu nikomu nie szkodziła oprócz jej samej. Aczkolwiek chęć wyniesienia się uważaną bywa za skłonność wyłącznie właściwą płci brzydkiej, pani Benoit tę chęć posuwała do namiętności. Braknie nam stosownego wyrazu na określenie tej jedynej słabostki pani Benoit, gdyż ściśle biorąc, jej chęć wyniesienia się nie była wcale podobną do ambitnej żądzy innych ludzi. Nie łaknęła ona bogactw ani zaszczytów: huta żelazna w Arlanżu przynosiła jej rocznie 150,000 franków dochodu, a z przyczyny swych zasad politycznych żadnej łaski od rządu 1846 roku nie byłaby przyjęła. Czegóż więc pragnęła, o co dobijała się? Aby ten przedmiot wyjaśnić dokładnie, potrzeba opowiedzieć po krótce dzieje lat młodocianych pani Benoit.

Gabriella-Augusta Elianna z domu Lopinot, przyszła na świat w samem sercu Przedmieścia Saint-Germain, nad brzegami owego strumyka w ulicy du Bac, o którym pani Staël powiada że piękniejszym jej się zdawał nad wszystkie Europejskie rzeki. Rodzice Elianny, z pradziadów mieszczanie czystej krwi, trzymali sklep pod szyldem Św. Ludwika, żyli skromnie, i powoli, bez rozgłosu, dorobili się olbrzymiego majątku. Okazując wielki zapał dla rządu monarchicznego, a dla szlachty najwyższy szacunek, zapewniali sobie wziętość u wszystkich mieszkańców Przedmieścia.

Pan Lopinot, doskonale rozumiejący swój interes, nigdy nie posyłał rachunku pokąd nie zażądano, i nie było przykładu, ażeby zaniósł kiedy skargę przed sądy na dłużnika nierzetelnego. To też potomkowie rycerzy krzyżowych nie jednokrotnem bankructwem zrobili wyłom w jego dochodach. Ale natomiast pan Lopinot miał dar niezrównany w ściąganiu kontrybucyi z dłużników wypłacalnych, tak że kasa jego odzyskiwała z nawiązką poniesione straty.

Przebiegły kupiec nieustannie mając do czynienia z ludźmi wysokiego rodu, z których jedni jego okradali, a drudzy siebie dozwalali bezwiednie okradać, wdrożył się w nałóg pogardzania bez różnicy swoją świetną klientellą. W magazynie znajdowano go zawsze potulnym i uniżonym, ale skoro sklep zamknął i wrócił do domu, prostował się i podnosił w górę jakby na sprężynach. Żona i córka z podziwieniem i niemal ze strachem słuchały jego żartów przesiąkłych lekceważeniem i jego zuchwałego sądu o ludziach wyższej sfery. Pani Lopinot nieraz przeżegnała się trwożliwie kiedy mąż, po suto zakropio-

nej wieczerzy, kończył swoje rozprawy podobnem temu zdaniem:

— Dosyć lubię tych magnatów, — nawet przyznaję że zdarzają się pomiędzy nimi nie źli ludzie, ale za nic w świecie nie przyjąłbym żadnego z nich za zięcia.

Nie tak wcale myślała Gabriella-Augusta-Elianna. Nawykła od niemowlęctwa patrzyć na przejeżdżające karety z herbami, jak wiejskie dzieci na latające jaskółki, wzrastała w bezprzestannem olśnieniu. Skłonna do marzeń jak wszystkie młode dziewczęta, zachwycała się widokiem przedmiotów które ją otaczały. Pałace pańskie których tylko bramy oglądać miała prawo, do najwyższego stopnia drażniły jej ciekawość, przepych strojów, zaprzęgów, liberyi, wywierał na nią wpływ odurzający, świetne nazwiska szlachty poprzedzone pięknie brzmiącym tytułem, miały dla niej niewymowny urok. Powoli w umyśle podrastającej dziewczynki wyrobiła się cześć prawie bałwochwalcza dla tej ośniedziałej pychą rodową arystokracyi, która się mianuje Przedmieściem Św. Germana, a która uważa siebie za wyższą od reszty rodzaju ludzkiego z prawa urodzenia.

W jej przekonaniu, nie było większej rozkoszy na świecie jak należyć do tego towarzystwa pełnego najwyszukańszej elegancyi, do tego ogniska dobrego smaku i wysokiego tonu, wmieszać się w zebrania tych świetnych i dumnych magnatek którym dotąd, jako córka kupca zaledwie w oczy spojrzyć śmiała, mieć prawo zasiąść poufale w ich gronie, — i brać udział w tych rozmowach salonowych, które mniemała bardziej zajmującemi nad najciekawszy romans. Gdy doszła lat szesnastu, tak już miała głowę zaprzątniętą temi ułudnemi rojeniami, że jedynem jej pragnieniem i celem życia stało się: wstąpić kiedyś w to koło zaczarowane, które podniecona jej wyobraźnia przyoblekała w najcudniejsze barwy, i które ją pociągało powabem tajemnicy i niedostępności.

Często, oddając na sąd zwierciadła swoją ładną świeżą twarzyczkę i postać szykowną, mówiła sobie po cichu:

— Czyliż to tak wielkiego cudu potrzeba, ażeby ta nieprzełomna zapora zniżyła się przedemną? Cóż w tem niepodobnego aby moja osóbka przy pomocy mego posagu, wpadła w oko któremu z tych wielkich panów? Przecież takie rzeczy zdarzały się na świecie, czemuż bym i ja nie mogła być szczęśliwą losu wybranką?...

Z pomiędzy wszystkich dostojeństw szlacheckich, tytuł margrabiowski najmocniej ją nęcił. I miała na to słuszne przyczyny: są książęta i hrabiowie świeżej daty, którzy w Przedmieściu nie wiele mają znaczenia, kiedy przeciwnie wszyscy margrabiowie pochodzą z dawnych znakomitych rodzin bez wyjątku.

I silna wiarą młodocianych omamień, czekała cierpliwie, pewna że jakieś nieprzewidziane zrządzenie losu powinno koniecznie pragnienia jej spełnić.

Gdyby miała swobodę działania, niezawodnie byłaby bez latarni znalazła człowieka jakiego żądała na męża, bo umysł miała przedsiębierczy i ruchliwy, ale żyła pod władzą matki w zupełnem odosobnieniu. Pan Lopinot od czasu do czasu przychodził z oznajmieniem do niej, że taki to adwokat, notaryusz albo kupiec prosi o jej rękę, odmawiała wszystkiem stanowczo, trzymając się uporczywie swej urojonej nadziei.

Lecz jednego pięknego poranku spostrzegła się, że już przebywa 25-tą wiosnę swego życia, nie namyślając się dłużej, przyjęła oświadczyny pana Morel, posiadacza huty żelaznej i pięknego lasu w Arlanżu, i niezwłocznie została jego żoną. Pan Morel zaraz po ślubie zabrał żonę na wieś: był to poczciwy mieszczanin, z dobrem wychowaniem, przystojny i młody, i nie ma wątpliwości że pani Elianna pokochałaby go z czasem nie mniej jak jakiego margrabię, lecz losy inaczej chciały. Pan Morel po krótkiej chorobie, umarł w sam dzień 31 lipca 1830 roku, zostawiając żonie cały swój majątek i półroczną córeczkę.

Rewolucya lipcowa tak mocno wstrząsnęła sercem ładnej wdówki, że zapomniała płakać po stracie męża. Interesa różne, tyczące się uregulowania spadku i kierowania fabryką, zatrzymały ją w Arlanżu jeszcze rok cały, tymczasem nadeszła cholera, i zabrała ze świata obojga razem państwa Lopinot.

Pani Elianna, dziedziczka ogromnego majątku, więcej niż kiedy czując swoje prawa do margrabiowskiej korony, wróciła do Paryża, sprzedała magazyn pod Św. Ludwikiem, i kupiła sobie pałacyk na ulicy Św. Dominika, pomiędzy domem hrabiego de Preux z jednej, a marszałkowej de Lens z drugiej strony. Zaraz na wstępie postarała się przesadzić sąsiadów w okazałości, zaopatrując swoje mieszkanie w kosztowniejsze meble, powozy, konie, bogatszą oranżeryę i tak dalej.

Ale to wszystko chętnie byłaby oddała w zamian, za prawo zawiązania sąsiedzkich stosunków.

Pewnego poranku, ogrodnik przyniósł jej papugę którą złapał na drzewie, pani Elianna zarumieniła się z radości, poznając ulubienicę marszałkowej. Korzystając ze sposobności przysłużenia się sąsiadce, sama osobiście odniosła ptaka, nie zważając że jej drapał i kaleczył wypieszczone rączki. Ale u progu domu przyjął ją opasły intendent i podziękował ceremonijalnie w imieniu swej pani.

Zimne i gorące poty oblewały na przemian czoło pięknej wdówki, gdy po tej porażce wracała do siebie.

W kilka dni później, na kwiatowe klomby pani Elianny upadł mały balon, wypuszczony przez dzieci hr. de Preux. Z obawy nowego spotkania z intendentem, odesłała balonik przez służącego, z bardzo uprzejmym i zgrabnie ułożonym liścikiem do hrabiny: Odpowiedź dał nauczyciel małych hrabiczów, mieszczuch pospolitego nazwiska...

Podobne próby powtarzały się nie raz; zawsze niestety! bezowocnie. Piękna wdówka próżno wydatkowała swe uprzedzające grzeczności.

Będąc wtedy w samym kwiecie młodości i wdzięków, mówiła sobie nieraz, wracając do domu z jakiej przejażdżki samotnej.

— Co za śmieszny kaprys losu! Mogę wchodzić ile razy zechcę co dnia pod Nr 57-my, a pod 55-ty lub 59-ty nie wolno mi wstąpić ani na kwadrans?

Miała jednakże swoich znajomych w Przedmieściu: Byli to dawni dłużnicy jej ojca, od których nie myślała wcale domagać się zaległych wypłat. Zawdzięczając jej delikatności, przyjmowano ją czasem ale tylko z rana. Po południu, mogła śmiało rozebrać się, wszystkie jej wizyty były już skończone.

List od zawiadowcy fabryki, donoszący że interesa wymagają niezwłocznego jej przyjazdu, oderwał ją nareszcie od tego życia, w jakiem ponawiała się dla niej męka nieboszczyka Tantala.

Za przybyciem do Arlanżu, niespodzianie znalazła blisko siebie to, czego napróżno tyle czasu wyczekiwała i szukała w Paryżu, — to jest: klucz do Przedmieścia Św. Germana. U jednego z wiejskich jej sąsiadów gościł od kilku tygodni margrabia de Kerpry, kapitan 8-go pułku dragonów, kawaler lat czterdziestu, niedbały oficer, ale biesiadnik ochoczy, zawsze dziarski, nie poddający się starości, wsławiony ze swych długów, pojedynków, i wesołych wybryków. Za cały majątek miał tylko swój żołd, czyli właściwie mówiąc, niemiał zgoła nic.

— Teraz dopiero margrabiostwo moje mam w ręku! pomyślała hoża wdówka.

Zaczęła zapraszać margrabiego do siebie na sute objady, dogadzała wszystkim jego gustom, pochlebiała jego próżności, słowem, formalny atak przypuściła do jego serca. Margrabia nie pozostał nieczułym, i we dwa miesiące od czasu poznania się podał do ministra wojny prożbę o dymisyą, i poprowadził do ołtarza milijonową oblubienicę. Stosownie do ustawy krajowej, małżeństwo zostało ogłoszonem w gminie Arlanżu, w 10-tym okręgu miejskim Paryża, i w miasteczku gdzie najpóźniej kapitan stał garnizonem. W metryce urodzenia pana młodego, spisanej za czasów teroryzmu, wykazane było mieszczańskie nazwisko, Benoit, ale złożył przytem późniejszy dokument, poświadczający że jak sięgnąć może pamięć ludzka, szanowny kapitan zawsze i wszędzie mianowanym był margrabią de Kerpry.

Nowa margrabina zaraz na wstępie sprosiła na bal całe Przedmieście St. Germana osiedlone w jej sąsiedztwie, bo wiadomo przecie, że to przedmieście rozciąga się aż do granic Francyi, i cieszyła się upojeniem tryumfatora, prowadzącego w zwycięzkim pochodzie tłumy ukorzonych przeciwników.

Olśniwszy wystawą i przepychem okolicznych szlachetków, zapragnęła wrócić do Paryża, aby tam za dawne swoje niepowodzenia pozyskać świetny odwet. Gdy oznajmiła zamiar swój mężowi, kapitan zmarszczył szerokie brwi i stanowczo zawyrokował że mu dobrze w Arlanżu, i że ruszać się ztamtąd nie myśli. Kuchnię miał wyśmienitą, piwnicę po królewsku zaopatrzoną, polowanie przewyborne, — niczego więcej nie pragnął, przedmieście zaś było dla niego krajem tak obcym jak Ameryka, niemiał tam ani krewnych, ani przyjaciół, ani stosunków żadnych.

— O losie prześladowczy! zawołała biedna Elianna, potrzebaż było abym natrafiła na jedyny egzemplarz margrabiego który nie zna Przedmieścia.

Pocieszała się jak mogła prowadząc dom otwarty i czynnie podtrzymując stosunki z arystokracyą okoliczną, czemu się kapitan wcale nie przeciwił, gdyż i sam był wielkim zabaw zwolennikiem.

Ale nie w jednym tylko względzie czekało panią Eliannę boleśne rozczarowanie. Spostrzegła niebawem, że mężulko używa piołunkówki cztery razy na dzień, i że prócz tego sprowadził z Paryża spory zapas płynu zwanego vermutem, na swój wyłączny użytek. Umysł kapitana nie zawsze zwycięzko pokonywał wpływ tych często powtarzanych bachusowi hołdów, i zazwyczaj, gdy odstępował go rozsądek, przychodziła zapalczywość. Wtenczas na nic nie miał względu i nikogo nie oszczędzał, nawet samej Elianny, która, zrażona do najwyższego stopnia jego brutalstwem, już gotowa była zrzec się tytułu margrabiny, byle jakim sposobem pozbyć się margrabiego.

Pewnego dnia kapitan czuł się niezdrów i był w złym humorze, z przyczyny że dnia poprzedniego zanadto doznał wesołości i za częste zdrowia wnosił. Głowa mu ciężyła, oczy miał obrzękłe, siedział zagłębiony w miękkim fotelu, i milcząco pociągał w palcach długie obwisłe wąsy. Żona stała przy samowarze, i nalewała herbaty jedną szklankę po drugiej. Wtem wszedł służący i oznajmił pana hrabiego de Kerpry. Kapitan, jakkolwiek chory, zerwał się na równe nogi.

— A mówiłeś mi że żadnych krewnych nie masz, odezwała się Elianna nieco zadziwiona.

— O żadnych nie wiedziałem, odrzekł siadając. Niech mnie dyabli porwą jeżeli rozumiem... ale zobaczymy... — prosić! rzekł do lokaja.

Wszedł do salonu młodzieniec lat dwudziestu, pięknej, ale prawie dziecinnej twarzy. Wzrostu dosyć słusznego, ale wysmukły i delikatny. W wielkich błękitnych oczach miał wyraz nieśmiałości, a gdy spojrzenie zwrócił na piękną panią domu, zarumienił się jak dojrzewająca brzoskwinia. Głos miał tak miły i dźwięczny, że gdyby nie ciemny wąsik rysujący się powabnie nad ustami, można było wziąść go za przebraną panienkę.

Kapitan, spojrzawszy na gościa, uśmiechnął się pogardliwie z pod wąsa.

— Panie, rzekł młody człowiek wpół zwracając się ku Eliannie, — chociaż nie mam zaszczytu być panu znanym, pragnę pomówić o sprawach familijnych. Rozmowa nasza przeciągnie się może długo, zawierać będzie szczegóły nie zajmujące, — obawiam się że znudzimy panią, a zatem...

— O bynajmniej, przerwała Elianna przybierając dumną minę, — margrabina de Kerpry żąda i powinna wiedzieć o wszystkiem, co się tycze jej dostojnej rodziny, a ponieważ pan jesteś naszym krewnym...

— To jeszcze mi nie wiadomo, pani, ale wyjaśnimy tę kwestyą natychmiast, kiedy pani tak się podoba, a pan zdaje się przyzwalać.

Kapitan słuchał, wlepiwszy w gościa osowiałe oczy, i nie wiele rozumiejąc. Młody hrabia zwrócił się ku niemu, chcąc mu dać do poznania, że z nim wyłącznie rozmówić się żąda.

— Panie, rzekł, jestem najstarszym synem margrabiego de Kerpry, który znany jest całemu Przedmieściu Św. Germana, i mieszka we własnym domu na ulicy Św. Dominika...

— Co za szczęście! — przerwała trzpiotowato pani Elianna.

Hrabia na ten nieoczekiwany wyskok radości, odpowiedział zimnym i ceremonijalnym ukłonem, i mówił dalej;

— A ponieważ mój ojciec, panie, mój dziad i mój pradziad byli jedynakami i ponieważ nigdy w rodzie naszym nie istniało dwóch gałęzi, nie weźmie nam pan za złe zadziwienie jakie nas ogarnęło, gdy w dziennikach wyczytaliśmy wiadomość o małżeństwie jakiegoś pana de Kerpry.

— Więc mi nie wolno było żenić się, co? spytał opryskliwie kapitan, przecierając oczy.

— Tego nie mówię, panie, ale mamy u siebie, oprócz drzewa genealogicznego, wszystkie dokumenta dowodzące naszych praw do nazwiska de Kerpry. Jeżeli pan jesteś krewnym naszym jak tego pragnę, nie wątpię że musisz również posiadać akta stwierdzające rodowód.

— A mnie to na co! odparł gburowato kapitan. Ktoby tam szukał prawdy w szpargałach! Całemu światu przecież wiadomo kim jestem!

— Zgadzam się z panem najzupełniej, nie potrzeba wielu pargaminów aby wykazać dowód niezbity, dosyć jest metryki urodzenia a przy tem...

— Mój panie, przerwał ostro kapitan, w metryce mojej podstawiono nazwisko Benoit, data jej jest z 1794-go. Czy rozumiesz to pan dla czego to zrobiono?

— Rozumiem doskonale, panie, i mimo tej niedogodnej okoliczności, nie tracę nadziei zostawania w pokrewieństwie z panem. Czy pan urodziłeś się w samym Kerpry, czy też w okolicy?

— Kerpry, Kerpry? gdziesz to Kerpry u djabła?

— Ależ na tem miejscu gdzie zawsze było: o trzy mile od Dijon, na drodze paryzkiej.

— E! mój panie, cóż mnie to obchodzi, kiedy Robespierre posprzedawał majętności familijne.

— Mylnie pana zawiadomiono. Wprawdzie zamek i włoście wystawione były na sprzedaż jako dobra emigrantów, ale nie znalazło się kupca, i jego Kr. Mość Ludwik XVIII raczył je zwrócić mojemu ojcu.

Kapitan pomału otrząsał się ze swej otrętwiałości. Ostatnia wiadomość wytrzeźwiła go zupełnie, zacisnął pięście, postąpił ku gościowi, i wyciągnąwszy szyję, krzyknął mu prosto w twarz:

— Mój mały panie, od czterdziestu lat jestem margrabią de Kerpry, i moja szpada potrafi o tem przekonać każdego śmiałka co mi będzie lazł w oczy.

Młody człowiek zawrzał gniewem, zaczerwienił się, ale wspomniał na obecność Elianny, która wstydem przybita, osunęła się na szezląg i siedziała jak martwa; odpowiedział więc spokojnie:

— Mój wielki panie, chociaż sądy Boże wyszły już z mody, przyjąłbym chętnie sposób porozumienia się jaki pan mi podajesz, gdyby mnie tylko samego rzecz ta obchodziła. Ale przedstawiam tu mego ojca, braci, i całą rodzinę, oni więc słusznie mogliby wziąść mi za złe, gdybym ich sprawę tak lekko traktował. Pozwolisz pan zatem, że wrócę do Paryża. sądy rozstrzygną który z nas dwóch przywłaszcza nazwisko cudze. Po ogłoszeniu wyroku, będę na pańskie usługi.

To powiedziawszy młody hrabia, złożył ukłon głęboki mniemanej margrabinie, wyszedł lekkim krokiem z salonu, wskoczył do swego powozu i odjechał, nim jeszcze kapitan zdążył opamiętać się i zdecydować, czy ma wypuścić go czyli zatrzymać.

(d. c. n.)

Korespondencya z Niemiec.

Wiedeń, lipiec 1876 r.

Czy Austryacy są Niemcami. — Zwiększanie się samobójstw w Niemczech, a szczególniej w Austryi. — Brak nauczycieli elementarnych w Prusach. Oddział niemiecki na Wystawie filadelfijskiej. — Urzędowe sprawozdanie Dyrektora Akademji Przemysłu. — Dzieło p. Baumgarten *Komórki organiczne.*—Tom XVIII Biblijoteki międzynarodowej: *Pasożyty królestwa zwierzęcego* p. van Vaneden. — Romans reklama p. Hellvig: *Wielkość i upadek Strousberga. Aspazya* Roberta Hamerling. — *Néron*, tragedya w V aktach p. Willbrandt'a. — *Jokonda*, opera komiczna p. Zeller. — *Róża i oset* dramat w I-ym akcie p. Hermana Schmidt. — Ogólne zebranie w Bayreuth stowarzyszenia zwolenników Wagnera. — Śmierć znanego finansisty, barona Sina. — Galerya narodowa w Berlinie. — Wystawa historyczno-artystyczna w Monachium. — Projektowana wyprawa niemiecka do bieguna północnego.

Kwestya Wschodnia, której rozwiązanie jest dla Austryi owem sławnem szekspirowskiem *to be or not to be* przywołała na stół rozległy i zajmujący problemat o narodowościach. Nie ulega zaprzeczeniu że od czasu utworzenia się państwa austro-węgierskiego, a szczególniej od czasu Sadowy, żywioły tego problematu znacznie się zmieniły. Czy dziś dwie te nazwy „Austryak" i „Niemiec" znaczą jeszcze toż samo co dawniej? czy to co się odnosi i obchodzi Austryę równie żywo zajmuje Niemcy? oto pytanie jakie zadają sobie ludzie dobrej wiary, teraz szczególnej gdy mapa Europy może będzie musiała być zmienioną, w skutku otwarcia się spadku po „chorym". Tak austryaccy mężowie Stanu, jakoteż znaczna liczba ,,wolno praktykujących polityków," są zdania, że od czasu wojny w 1866 r. głęboka otchłań oddziela Austryę od Niemiec. Nie trzeba koniecznie być Słowianinem aby zrozumieć prawowitość tego rozdzielenia. Wiedeń, Gratz, Linz, Salzburg, są to miasta austryackie ale nie niemieckie, choć większa część ich ludności jest pochodzenia niemieckiego. „Niemcy" jest to nazwa zarazem polityczna i narodowa, kiedy przeciwnie ,,Austrya" jest wyrażeniem czysto politycznem. Skutkiem takiego powikłania nazw, często trudno zrozumieć o co chodzi. Dla Słowian i katolików „Niemiec" znaczy „Prusak", zaś prawdziwi „narodowcy niemieccy" w przeciwną wpadają ostateczność i pragną koniecznie uważać się za należących do nowego cesarstwa niemieckiego i przyznają się do jego chwały wojennej. Chełpią się Sedanem i zdobyciem Alzacyi i Lotaryngji jakby ono było ich dziełem; chełpią się postawą Austryi w r. 1870 strzegącej granic od strony Wschodu podczas wojny Prus z Francyą. Nie dość na tem; niektórzy z tych „zapamiętałych narodowców" cieszą się klęską jaką Prusacy zadali Austryakom pod Kenigraetz, pod pozorem że większa część armji austryackiej składała się ze Słowian i Madziarów. Wprawdzie w ostatnich czasach przesadzony ten ,,szowinizm" zaczyna trochę słabnąć, a jednak nie ulega zaprzeczeniu, że ludność przechyla się silniej na Północ ku niemieckiej ojczyznie, niż ku Polakom, Węgrom lub Kroatom. I nie można się temu dziwić, wszak aż do ostatnich czasów Austrya i Niemcy wspólne miały dzieje, i dopiero może od lat dziesięciu nie wolno Austryakom nawet politycznie łączyć się z Niemcami, a próżni jaką to oddzielenie wytworzyło w sercach Austryaków-Niemców, nie zdołały dotąd zapełnić ludy wchodzące w skład monarchji austryackiej. Zjednoczenie w jedną całość wszystkich narodowości poddanych berłu habsburskiemu byłoby faktem nader pod każdym względem ważnym dla Austryi, lecz czy to kiedykolwiek nastąpi?...

Od r. 1866 nie przestają powtarzać, że mimo rozdziału politycznego Niemcy i Austrya tworzą jeden naród pod względem sztuk i nauk; mówią i piszą wiele „o niemieckiej wiedzy i umiejętności" lecz jakże to nieokreślona i elastyczna nazwa. Wiedza i nauka nie jest ani francuzka, ani angielską, ani niemiecką — jest kosmopolityczną; co najwięcej možnaby może zrobić wyjątek dla filozofji niemieckiej, alež filozofija nie jest nauką. Nie ma też najmniejszej zasady mówić o sztuce wspólnej Austryi i Niemcom, bo sztuki piękne są także z natury swej wspólną wszystkich ludów własnością. Wprawdzie w utworach malarzy austryackich i niemieckich daje się dostrzegać pewne jakby powinowactwo, ale uderza ono głównie w obrazach rodzajowych, a to dzięki kostiumom i akcesoryom; w obrazach historycznych lub w krajobrazach podobieństwo narodowe zaciera się zupełnie i pozostaje już tylko indywidualność malarza. W Austryi zresztą daleko wyżej cenią malarzy francuzkich i belgijskich niż niemieckich. Toż samo można powiedzieć o muzyce, która najmniej może ze sztuk troszczy się o narodowość. Wagner ma zapalonych stronników w Wiedniu, ale jednocześnie publiczność z zapałem wita i przyjmuje Verdi'ego, a operetki francuzkie zyskują tu równie gorące oklaski jak w stolicy Francyi.

Jedynie zapatrując się ze stanowiska literackiego, można dowodzić pewnej tożsamości między Niemcem a Austryakiem, a to z powodu wspólności języka, choć i to więcej daje się widzieć w przeszłości niż w teraźniejszości. Tak Austryacy jak Niemcy, na mocy jednakich praw przyznają się do Goethe'go, Lessing'a i Schiller'a; nie uważają za cudzoziemców Uhland'a ani Heine'go, równie jak Grillparzer'a lub Lenau. Romanse i sztuki dramatyczne przedstawiane w Niemczech są czytane i przedstawiane w Austryi; jednak od r. 1866 i w dziedzinie czysto literackiej coraz więcej uwydatnia się różnica między Austryą a Niemcami, głównie z tego właśnie powodu że pisarze tego ostatniego kraju wzięli sobie za zadanie podnosić do apoteozy wielkość Prus i jej wojenne podboje. Ani wojownicze pieśni z 1870—71 r. ani tym więcej wszelkie manifestacye niemieckiej muzy przeciw Rzymowi i katolikom, bynajmniej nie

znalazły uznania w Austryi; czytano tam wprawdzie ostatnie romanse Auerbach'a i Freitag'a, ale nie cieszyły się powodzeniem. Toż samo powiedzieć trzeba o utworach Spielhagen'a, od czasu jak zaczął pisać przeciw Francyi. Z drugiej znów strony Bauerfeind nie zyskał uznania w Niemczech. Cośmy powiedzieli o romansach i powieściach stosuje się także i do dramatu; autor *Zagadkowych natur* mógł się przekonać, że wystawianie w teatrze chwały wojennej niemieckiej, jest najprzeciwniejszym środkiem zyskania oklasków publiczności austryackiej. Z tego właśnie powodu dramat jego *Miłość za miłość* tak zimno został przyjęty. W Niemczech p. Spielhagen mógł liczyć na patryotyczne wrażenie wywołane „armatą z pod Lipska" ale jej strzały nie donoszą do Wiednia; a choć w owej epoce Austrya podzielała jeszcze laury niemieckie, jednak od owego czasu Prusy tak wyłącznie na swą korzyść skonfiskowały bitwę pod Lipskiem, że sama jej nazwa nieuniknienie budzi echo Sadowy. Wiele, wiele wody Dunaprzepłynie pod mostami, zanim większość Austryaków będzie mogła słuchać z zimną krwią odzywań się do patryotyzmu, który tak przeciw nim zwrócił się pod Sadową. Szczęściem nauki i sztuki coraz dziś więcej zmierzają do tego aby stać się wspólnem dobrem ludzkości, nie zważając na różnicę ras ani narodowości.

W ogóle w Niemczech, a szczególniej w Austryi, liczba samobójstw zwiększa się z dniem każdym; w przecięciu przypada przeszło po 800 na rok. Samobójstwa kobiet są mniej liczne i nie zwiększają się w równym stosunku; w ogóle mniejsza liczba przypada na prowincye Południowe (19 na 100) niż na północne (24 na 100). Co szczególniej zwraca uwagę w statystyce samobójstw w Austryi, że daleko więcej dopuszczają się go młodzi niż starzy, kiedy w innych krajach w ogóle przeciwnie się dzieje.

Wiedeń i otaczające go kraje już od pół wieku pierwsze zajmują miejsce w statystyce samobójstw. Uważając ze stanowiska religijnego, obliczono że na protestantów wyznania augsburgskiego, po większej części Niemców, przypada więcej jak o czwartą część więcej samobójstw niż na katolików lub Greków. Najmniejsza stosunkowo ilość przypada na żydów, gdyż na 1,000,000 liczą 160, kiedy na takąż liczbę chrześcian, przypada 500 do 600. Rodzaj śmierci obierany przez nieszczęśliwe ofiary różni się odnośnie do miejscowości. I tak w Salzburgu, w Galicyi, w Karyntyi, w Tyrolu, najwięcej odbierają sobie życie przez utopienie, a to z powodu że wody obficie rozmieszczone są w tych miejscowościach; zaś w wielkich miastach a szczególniej w Wiedniu, najczęściej samobójcy uciekają się do trucizny, gdyż jej z łatwością dostać mogą.

Już to moralność w ogóle w Niemczech coraz na niższym stoi stopniu, na dowód dość byłoby przytoczyć coraz zwiększające się liczby nieprawych urodzeń; z licznych narodowości składających mozajkę zwaną cesarstwem austryackiem, według wykazów statystycznych największa ich liczba przypada na ludność niemiecką. A cóż dopiero powiedzieć o Berlinie!

Weszło w zwyczaj że powszechnie wychwalano nauczanie elementarne w Niemczech, a szczególniej w Prusach; dowodzono że żaden kraj nie wydaje tak wiele na oświatę publiczną, mówiono i pisano że nie wojska niemieckie ale pruscy bakałarze i elementarze pokonały Francuzów; gdyby to było prawdą, to dziś Prusy powinnyby za jaką bądź cenę unikać wojny, gdyż zbrakłoby im owych zwycięzców. W porównaniu z wydatkami na wojsko, budżet oświaty publicznej jest tak ograniczony, iż zakrawa na drwiny. Według urzędowych obliczeń znajduje się teraz w samych Prusach 15,000 dzieci pozbawionych nauki elementarnej z powodu zupełnego braku nauczycieli, a 200,000 dzieci pobiera jedynie naukę od nauczycieli innych szkół, ale tylko w miarę jak czas i okoliczności pozwalają. Nadto w wielu bardzo gminach trzeba było ograniczyć wykład do połowy dnia, zawsze dla braku nauczycieli. Tak więc zagraża Prusom niebezpieczeństwo, że rozsławieni „bakałarze" owi pogromcy z pod Sadowy i Koeniggraetz, zupełnie zaginą, bo rząd nie chce czy nie ma ich czem płacić.

Handel i przemysł w Austryi stoi wyżej niż w Niemczech, które świeżo na wystawie filadelfijskiej ciężko zostały upokorzone, jak to przyznaje w swem sprawozdaniu profesor Reuleaux, Dyrektor Akademji Przemysłowej w Berlinie i komisarz jeneralny oddziału niemieckiego. „Większość naszych wyrobów, mówi on, nie dorównywa o wiele przedmiotom wystawionym przez inne kraje, a przewyższających je swoją wartością prawie nie ma. Publiczność i prasa tutejsza, szczególnie niemiecko-amerykańska, sądzi nas nadzwyczaj ostro i nie szczędzi gorzkich słów prawdy, wytykając nam bez litości najmniejsze wady i usterki!

„I nie można się bardzo dziwić. Jak tylko zamierzono urządzić wystawę filadelfijską, Niemcy amerykańscy i ich organa głośno rozsławiali cuda doskonałości jakie przedstawią potężne i zjednoczone Niemcy; mieli oni zaćmić swym blaskiem wszystkie inne narody i w ogóle prawie stanowczą odnieść nad niemi przewagę. Otóż świetne te nadzieje jak mgła się rozwiały; zamiast przewyższyć, Niemcy stanęły niżej od innych narodów, a zawiedziona w oczekiwaniu publiczność zamieniła się w niemiłosiernych krytyków. Może to i na dobre wyjdzie. Odurzeni dymem pochlebstw, jakie zwykle pociąga za sobą niezwykłe powodzenie, Niemcy odwracali się od prawdziwego zwierciadła jakie prawdomówni przyjaciele stawiali im przed oczy; teraz zwierciadło to tak wielkie przybrało rozmiary, iż chcąc nie chcąc muszą w nie spojrzyć i uwierzyć temu co w nim widzą. Patryotyzm nie dozwala mi obwijać w bawełnę gorzkiej prawdy: muszę wyznać że porażka nasza nie ulega zaprzeczeniu. Oto jej powód. Zasadą przemysłu niemieckiego jest: produkować *choćby najgorzej byle tanio*. Pomimo że przezorni przemysłowcy potępiają tę zasadę i w imieniu dobra niemieckiego przemysłu głośno się przeciw niej oświadczają, jednak nie zdołali jej obalić, jak tego najwyraźniej dowodzą wyroby nasze przedstawione na wystawie filadelfijskiej. Drugą wadą Niemców że w zakresie przemysłu i sztuk pięknych wymyślają jedynie motywa tendencyjnie-patryotyczne, co w zapasach powszechnego współzawodnictwa jest najzupełniej niestosowne, i zarazem dowodzi że nie są zdolni odczuć piękności samej w sobie, bez przymieszek tendencyonalności. Co sobie myślała o nas Komisya Wystawy przyjmując całe szeregi wizerunków cesarza Wilhelma, następcy tronu i figur Bismarck'a, Moltke'go, Roona, wyrabianych z porcelany, z bronzu, z cynku, z żelaza, z gliny, malowanych, haftowanych, odlewanych, ulepionych, tkanych, litografowanych, drukowanych i t. d. W oddziale sztuk pięknych znajdują się dwa obrazy Sedanu, a jakie nędzne! w oddziale maszyn siedm-ósmych przestrzeni zajmują kolosalne armaty Kruppa, jakby grożąc narzędziom pokojowym wystawionym przez inne narody.

„Słyszeliśmy nieraz jak mówiono: jestże to rzeczywiście obraz posłannictwa niemieckiego?... Wyroby nadesłane na Wystawę, uwydatniają także trzecią naszą wadę w rzeczach przemysłu i sztuki: brak smaku i zastój w środkach technicznych. „Wszystkie narody które wysłały produkta swoje na Wystawę, nauczyły nas czegoś, mówią pisma amerykańskie, od samych tylko Niemiec chyba zarozumienia nauczyćbyśmy się mogli." Oto jak krytyka miejscowa oceniła wyroby niemieckie.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Ateneum, pismo naukowe i literackie. Zeszyty I – VI, pierwsze półrocze, 1876 r.

Oddawna już wszystkie pisma witały i powitały nowy organ pojawiający się na horyzoncie publicystyki naszej. Oddawna już zalecano, chwalono i krytykowano Ateneum; tylko Tygodnik Mód dopiero teraz zabiera głos o tem piśmie, zebrawszy już sporą wiązankę zeszytów, w której rozpatrzyć się można, a z drugiej strony, przysłuchawszy się różnym w prasie naszej głosom, głównie z powodu dwóch jakby rakiet, wypuszczonych przez redakcyą Ateneum, o których wnet powiemy obszerniej. Głosy te, zwłaszcza z powodu drugiej rakiety, brzmią jeszcze po dziś dzień; niezła to, bądź co bądź, reklama dla nowego pisma, o którem z wszelką słusznością w obecnej chwili można powiedzieć, że „robi dużo wrzawy." Pośród tej wrzawy, z powodu rozmaitych krzyżujących się nici, które przy naszych stosunkach i urządzeniach literackich łączą ze sobą rozmaite redakcye, a przynajmniej wydawców i redaktorów ze współpracownikami, zdarzyło się parę wypadków osobliwych. Tak np. jedno z pism bardzo poważnych pochwaliwszy z zapałem pierwszą rakietę, z Ateneum wypuszczoną, wystąpiło jednak później, ochłódłszy, przeciwko drugiej, zupełnie tego samego gatunku i z podobną dążnością sfabrykowanej; inne znowu mające ten zwyczaj, że często samo zbija swoje zdania i poglądy, często chwali, lecz częściej jeszcze gani poglądy przeciwne owym rakietom, a jednak jedno z pierwszych potępiło wybryki Ateneum. Pomijam już to, że sami spółpracownicy Ateneum występują z protestacyą przeciwko jego artykułom, ale istotnie jest to osobliwością, z której w swoim czasie uśmiała się „Mucha" że sam redaktor Ateneum publicznie w innem piśmie, również jego nazwiskiem, jako redaktora, opatrzonem, umieściwszy naprzód pochwałę osławionego czy sławnego artykułu z Ateneum w swoim felietonie, opatrzył go jednak przypiskiem, okazującym zupełnie inne zdanie redakcyi w tej kwestyi. Przynajmniej, jak zwykle, możnaby sądzić że przypisek od redakcyi, pochodzi od redaktora, a przynajmniej, że tenże jest z treścią takowego przypiska solidarnym. Nie chcę być satyrykiem, ale wspomniałem o zjawiskach tej „burzy w szklance wody" jako o przyczynkach do kwestyi bezstronności literackiej i... istnienia lub braku przekonań.

Przystępuję teraz od razu do dwóch owych „rakiet", jako najwybitniejszych z pomiędzy artykułów, umieszczonych w czterech pierwszych zeszytach Ateneum. Pierwszym takim artykułem jest nadzwyczajnie wychwalane i zanim się narodziło i przy pierwszem zjawieniu się na świat, „Nowe studyum o Syrokomli" przez W. S. (Ateneum, zeszyty styczniowy i marcowy). Istotnie artykuł to napisany, zwłaszcza w pierwszej połowie, świetnie, ze znajomością rzeczy i zamiarem zupełnej i głębokiej analizy tych stron twórczości poety, które mało dotychczas były poruszane.

Atoli zadaniu temu autor nie sprostał: w drugiej części swojej pracy (zeszyt marcowy) okazał się daleko słabszym, prawda, że poruszył kilka kwestyi, o których dotąd milczano, ale nie podołał zbyt tru-

dnemu i jak na teraz przedwczesnemu zadaniu. Epoka to zbyt blizka i żywotna dla żyjącego obecnie pokolenia, ażeby ją można było sine ira et studio oświecić światłem wyższej, bezstronnej krytyki; przynajmniej nie zjawił się dotąd i zapewne kilka pokoleń przejdzie za nim będzie mógł się zjawić mąż wyższego umysłu, któryby potrafił zostać historyozofem i bezstronnym sędzią przeszłości. Dziś jeszcze nic łatwiejszego jak wpaść w jednostronność w tej materyi. Rozważając doznane klęski i nieszczęścia, ludzie częstokroć *tło* wypadków biorą za ich *przyczynę*, a pomiędzy przyczynami, stosownie do własnego zapatrywania się i interesów bieżącej chwili, pomniejsze czynią głównemi albo nawet jedynemi. Wygląda to czasem podobnie, jak gdy chory znienawidzi dom i pokój w którym chorował, a nawet sprzęty i inne rzeczy chorobie jego wcale niewinne. Pragnie koniecznie i gwałtownie być zdrowym, a choć w nowem mieszkaniu i przy nowych sprzętach, polepszenie przyjść może bardzo powoli (jeżeli przyjdzie), zawsze jednak usiłuje w siebie wmówić że już dawno byłoby mu lepiej, gdyby był zmienił to i owo. Obok znanej oddawna skłonności do uwielbiania i wystawiania sobie w barwach różowych tego, co już minęło, istnieje w duszy ludzkiej prąd inny, całkiem przeciwny, łudzenia się pod względem ulepszeń i postępu. Do tego jeszcze należy dodać i tę wrodzoną własność ducha, według której niepowodzenia stają się dla człowieka nienawistnemi, ale częstokroć to samo, co dziś przeklina i potępia, chwaliłby i wysławiał człowiek, wynajdując strony jaśniejsze i szczytne, gdyby to było na jego korzyść wyszło. Te i inne podobne właściwości natury ludzkiej czynią dla nas zrozumiałemi niektóre tak zwane *trzeźwe* poglądy dzisiejsze; czynią i nas także wyrozumiałymi i nie pozwalają tak bardzo zżymać się i oburzać na te naturalne objawy natury ludzkiej, ujawniające się w falującym przypływie i odpływie, w akcyi i reakcyi, stanowiących treść rozwoju dziejów i ludzkości, podobnie jak i dziejów duchowych pojedyńczego człowieka. Liczne objawy wymienionych właściwości psychologicznych znajdujemy w wielu zdaniach autora studyum o Syrokomli; ztąd „nowe“ to studyum, pod względem głównych poglądów nie bardzo jest nowem, gdyż wiele z objawionych tam zdań słyszymy już dość często od lat kilku. Nie zapuszczając się już dłużej w poglądy ogólne na pracę pana W. S. dotkniemy teraz kilku szczegółów z tego ciekawego artykułu: zobaczymy wtedy co jest godnem uznania w tej pracy, a czytelnicy przekonają się, o ile możności, czy powyższe uwagi nasze ogólne są uzasadnione.

Za zasługę poczytujemy autorowi, że (chociaż ten sposób traktowania monografji literackich nie jest nowym), więcej zwraca uwagi na charakter i życie prywatne poety, na jego duchowy rozwój pod wpływem otaczających warunków i prądów społecznych w życiu i nauce. Rozebrać i wyświetlić to wszystko, jest rzeczą niezmiernie ważną, chociaż, niestety! tak trudną, że nawet i teraz, po zjawieniu się pracy pana W. S., po dawnemu możemy powiedzieć, że nikt jeszcze temu zadaniu względem któregobądź z poetów naszych nie sprostał. Tylko zbyt jednostronni zwolennicy zależności geniuszów i talentów wyłącznie od owych okoliczności, mogą z pracy p. W. S. przekonać się raz jeszcze że są w błędzie. Nie możemy jednak pochwalić autorowi zbyt wyrazistego i w słowach dosadnych kładzionego nacisku na niektóre smutne nałogi i ujemne strony prywatnego życia poety (str. 6), mało one miały związku z lirą Syrokomli, a jeśli miały, to przecie nie tak znaczny, ażeby aż potrzeba było publicznie rzucać cień na świeżą jeszcze pamięć poety, w obec żyjącej jego rodziny. Minęły te czasy, gdy wieszcz, jako kapłan, sam musiał być wielki i święty; może nawet i nie było nigdy takich czasów pomiędzy ludźmi, śród których trudno o aniołów; skoro zaś Syrokomla, według oceny samego autora, nie był wieszczem ani skromnym grajkiem wioskowym, zdaje się więc, że jemu przynajmniej możnaby było oszczędzić zarzutów ze sfery życia prywatnego.

Porównanie Syrokomli z Szewczenką, poetą nienawiści i rzezi (str. 3) i z Heinem, zimnym cynicznym szydercą, (str. 5) uważamy za niestosowne, oparte zaledwie na kilku tylko podrzędniejszych rysach podobieństwa. O modnej (od czasów jeszcze sofistów greckich) argumentacyi według wzoru: „*gdyby*, nie stało się A, wtedy *byłoby* to i owo“ nie ma co długo mówić: dziwi nas tylko, że autor używa czasem takich argumentów (np. str. 4). Zdaje się nam także iż autor trochę przesadza demagogiczne uprzedzenia Syrokomli i chłód jego stosunków z „panami“ (str. 7), w owej epoce na ziemiach dawnej Litwy takie przeciwieństwa nie były jeszcze możliwe. Ciekawy i zaprawdę nowy ustęp o religijności Syrokomli, na nieszczęście, pełny jest dziwacznych sprzeczności. Wniosek ostateczny taki, że Syrokomla lubował się tylko w dzwonach, świeczkach, organach i. t. d.; „był on, powiada autor (str. 16) religijnym wprawdzie, ale nigdy ortodoksalnym (prawowiernym), obchodziło go, *jak* masy wierzą, ale nie brał nigdy dosłownie i był obojętnym na to, *w co* wierzą, i co bywa często wątpliwe i niedorzeczne, a nigdy nie da się ściśle obronić i dowieść“, a nieco wyżej (str. 12) czytamy: „Syrokomla był przez cały czas życia idealistą, deistą, *bezwyznaniowym*, ale *arcyreligijnym* w duchu chrześcijaństwa człowiekiem“. Wyznajemy że w tych określeniach trudno coś zrozumieć. Z resztą autor dodaje jeszcze, że „*ujemną* cechą religijności Syrokomli był brak wszelkiego mistycyzmu“, „że nie było u Syrokomli mesyanizmu polskiego“ (str. 12), ma za złe poecie, że brał za temat swych utworów, baśni cudowne np. o klątwach i rzeczach przeklętych (str. 18), jak gdyby autor podobnych utworów, osnutych na podaniu gminnem, koniecznie i sam musiał wierzyć w prawdziwość tych „zabobonów“. Od siebie dodaje autor, że udział religji „jest coraz słabszy w *postępowem* kształceniu się społeczeństwa“ (str. 19) Że tak jest, to prawda, ale że kształcenie się społeczeństwa jest pomimo to *postępowem*, ztąd więc chyba wynika, że bez religji jest zupełnie dobrze. Utwory Syrokomli, pod względem idei i artyzmu, pan W. S. sądzi bardzo surowo, choć w wielu rzeczach trudno mu nie przyznać słuszności: ustęp ten, w ogóle najgruntowniejszy i bardzo zajmujący (str. 22 i nast.) jest próbką wielkich zdolności krytycznych autora. W ogóle autor na każdym kroku zarzuca biednemu poecie płytkość, chwiejność, nierozumienie dziejów, brak wykształcenia, przewlekłość, wodnistość i wszelkie inne możliwe wady. Dla nas niektóre z tych wad Syrokomla okupuje ciepłem serdecznem i harmonijną swojską nutą; że nie był to genijusz olbrzymi — rzecz pewna, ale czy godzi się do oceny skromnego wioskowego lirnika przykładać skalę wymagań zbyt wygórowaną? Czasem nawet krytyk niezbyt jest sprawiedliwym: czy można np. zestawiać różne zdania o jednym przedmiocie, które poeta wkłada w usta rozmaitym osobom w rozmaitych swych utworach, ażeby potem wyrzucać poecie sprzeczność ze sobą i *słabość rezonowania?* (str. 21). Na str. 30 mówi autor: „opowiadania i opisy są zwykle ckliwe u Syrokomli, a jeszcze ckliwsze morały, a więc wszystko jest ckliwe. Od poety historycznego wymaga autor, ażeby „patrzał na dzieje z wysoka“ znał „statyczne warunki bytu narodów“, posiadał wiedzę głęboką i. t. d. i stawia Długosza i Szajnochę nad Syrokomlę, a choć przytem wynosi i Walenroda, jednak na mocy powyższego przepisu (str. 30), trudno nam jakoś pojąć, jak odróżnia autor historyka od historycznego poety.

(d. c. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Jasiowi K. Książeczka p. t. Mały ogrodnik już wysłana pod opaską.

Pani Aloizie Ch. Z listem i pieniędzmi zrobiono jak Pani żądała.

P. L. Fr. w Nowogrodzie. Klechdy Wójcickiego kosztują 3 rs. Dzieł z Tańskich Hoffmanowej wyszło dotąd tomów 7, dalsze można mieć później, skoro wyjdą. Każden tom kosztuje 1 rs. 25 kop.

P. S. Juźwik. Historya Naturalna Leśniewskiego 3 tomy 7 rs. 50 kop. Także Szedlera 5 rs. Historya Polska Siemińskiego, Wieczory w Ojcowie 1 rs. Miklaszewskiego 3 rs. Lelewela. Dzieje Polski 2 rs. 25 k. Wypisy francuzkie Zdanowicza 45 k. Świtkowskiego 90 kop.

Pani Delfinie w Świeczny. Dwa tomy, Dziennik Małgorzatki wymienione na polskie tłomaczenie i wysłane pod opaską, również katalogi żądane. Do książek dodaliśmy 34 k. bo książki są oprawne i z 4 rycinami. Opakowanie 26 kop. razem zatem dołożyliśmy 60 k.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Toalety spacerowe do kąpieli morskich. Do sukni z gładkiego batystu *écru*, stanik bez rękawów i tunika jest z materyału w pasy białe, przerabiane w deseń ażurowy haft naśladujący. Stanik bez żadnego oszycia a tunika zakończona plisą z białego perkalu i oszyta koronką écru. Krawatka z tiulu w kolorze *cardinal*, ozdobiona haftem *Trima-di-Lana*. Czarny słomkowy kapelusz objęty materyą koloru *crême*, a ubrany aksamitem i piórami *cardinal*.

Fig. 2. Suknia z gładkiego niebieskiego perkalu, z takąż plisowaną falbaną i plisą z tego co tunika materyału. Z przodu luźny i otwarty kaftanik bez rękawów i tunika, są z perkalu w pasy niebieskie i popielate. Kapelusz z florenckiej słomy ubrany wstążką crême i wieńcem z bławatków.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 10 (22) Августа 1876 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz**. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.

Opis do N. 35.

(Dokończenie).

Sznureczek wrabia się przy pierwszem o. śc; w trzech następnych rzędach liczba o. śc; dochodzi do 14—16 a w ostatnim rzędzie robi się między o. śc: po dwa o. pow. Po skończeniu gwiazdki nie trzeba ucinać nitki lecz przeprowadzić ja do następnej 8 o. pow:, zastawiając również i sznureczek.

N. 25. Opis przy ryc. 4.

N. 26. Vêtement formą princesse zapięte skośno i zdobne paskiem z łańcuszka.

Formę princesse dopasować można podług załączanych poprzednio, urządzając zapięcie skośnie; dolna szerokość wynosi 240 cent. długość zaś licząc od wcięcia stanu wynosi z przodu 92, z tyłu 118 cent. Szew tylny dochodzi tylko do środka baskiny, dalej zaś proste brzegi brytów rozchodzą się i podpinają oddzielnie a dla otrzymania potrzebnej szerokości do beduinowego podpięcia, dodaje się przy prawej stronie prosty kawałek materyału 26 cent. szeroki. Górny brzeg tego kawałka składa się w dwie równe fałdy i przyczepia przy końcu szwa; w środku tylnych brzegów na 7 cent. poniżej baskiny zaszyta jest fałda i do niej przymocowana mocna haftka zapinająca się z pentelką daną na lewym brzegu na 21 cent. od wcięcia stanu. Rycina 26 wskazuje dokładnie sposób podpięcia vêtement; model odrobiony jest z miękkiej wełnianej tkaniny w pasy jaśniejsze i ciemniejsze, oszyty 12 cent. szeroką frendzlą siatkową, zdobny kokardami z wstążki repsowej 6 cent. szerokiej i paskiem z metalowego łańcuszka.

N. 27. Dywanik przed biurko. Robota krzyżowa.

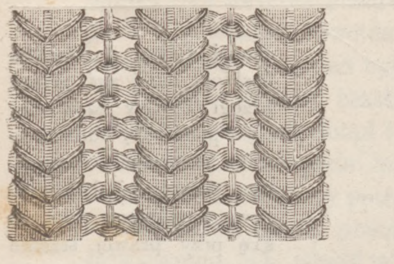
Brak miejsca nie pozwala nam załączyć dese-



N. 1. Stanik kirasowy dla małej dziewczynki. N. 2. Kaftanik naszyty pletnią dla małej dziewczynki.



N. 3. Ubranie z kaftanikiem bez rękawów. N. 4. Suknia z beduinową tuniką. Patrz ryc. 25, tudzież r. 11 w N. 34. N. 5. Suknia z vetement formą princesse. N. 6. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. N. 7. Ubranie dla małego chłopczyka.



N. 10. Kratka ażurowa w płótnie, przeszywane luźnym ściegiem do ryc. 9.

niu na ten dywanik odznaczający się wspaniałością rysunku w starożytnym guście, wymagającym harmonijnego dobrania delikatnych cieni niejaskrawych kolorów. Z maleńkiego tego formatu widać jednak dokładnie jaki rodzaj deseni używany jest obecnie, a w pierwszorzędnych magazynach robot kobiecych będzie można dobrać je między sprowadzonemi świeżo z zagranicy.

N. 28. Negliż i czepeczek.

Negliż ranny formą princesse odszyty z perkalu w pasy zdobny drobniutko plisowaną falbaneczką i warsztatową grubą koronką. Czepeczek muślinowy przybrany blado-niebieską wstążką serge, 6 cent. szeroką i koronką crème 5 cent. szeroką. Na denko potrzeba owalu 28 cent. długiego a 25 cent. szerokiego, założonego z brzegów w równe fałdki przez co okrąg zmniejsza się do 54 cent. i wszytego w muślinowy pasek 2 cent. szeroki, z przodu i z tyłu złożony w ząb. Do tego paska przyszyty jest z tyłu karczek podwójny, którego spodnia połowa liczy 12, zwierzchnia 8 cent. długości. Obie części są zakończone



N. 12-b. Robota sznura szydełkowego ryc. 12-a.



N. 12-a. Sznur szydełkowy do rozwieszania drobiazgów. Patrz ryc. 12-b.



N. 14. Woreczek na krochmal. Robota na drutach.

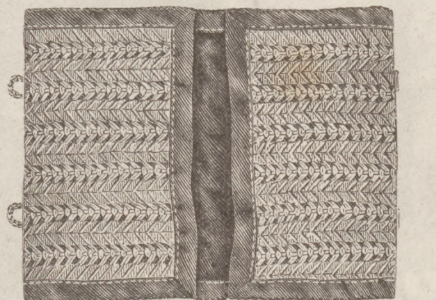
koronką i złożone w drobne fałdy; nad czołem do twarzy dana koronka, przepaska z wstążki i suta kokarda.

N. 29. Kołnierzyk i krawatka.

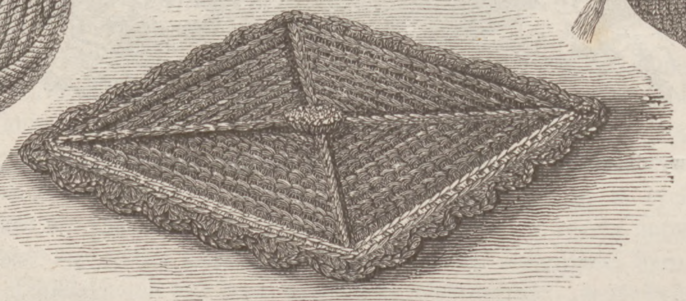
Kołnierzyki mocno odstające od szyi i rozchodzące się głęboko używają wielkiego powodzenia przy letnich toaletach. Rycina 29 załącza model kołnierzyka ozdobionego tylko rzędem stębnówki z brzegów i wszytego w krótką szmizetkę. Modna krawatka szafirowa broszowana w deseń biały, czarny i żółty, zakończona szeroką



N. 8. Szlak i ząbki do patarafek na umywalnię ryc. 8 w N. 34.



N. 9. Kieszonka na robótki. Kratki ażurowe na płótnie. Patrz ryc. 10 i 11.



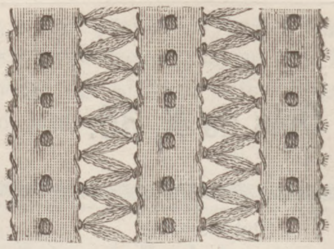
N. 15. Ściereczka do czyszczenia żelazka z krochmalu.



N. 18 Fartuszek do gospodarstwa i rękawki do osłonięcia rękawów od sukni. Krój fartuszka w dodatku do N. 15 ryc. 40—41. Krój rękawka na arkuszu do N. 31 i 32. Fig. 32.

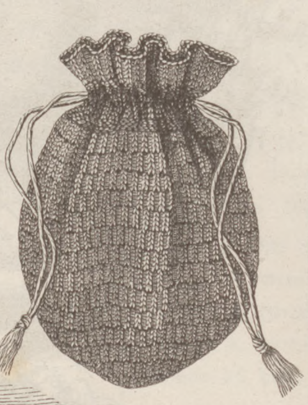
frendzlą, liczy 13 cent. szerokości a 104 długości.

N. 30. Stanik do wieczorowego ubrania dla młodych panienek.



N. 11. Kratka ażurowa na płótnie do ryc. 9.

Suknia taka może być uszyta z muślinu, batystu, tiulu czy tarlatanu białego lub kolorowego. Bluzkowy suto nadmarszczony staniczek, szczególnie korzystny jest dla szczupłych a wysokich panienek. Wymaga on dobrze dopasowanego do figury staniczka z wykrojem okrągłym lub kwadratowym, na którym naszywa się materyał zwierzchni suto nadmarszczony, dający się z łatwością odparać do prania. Wykrój stanika i rękawki oszyte ruszą lub bufką przepiętą kwiatami; na głowie mały wianeczek przewiązany wstążką.



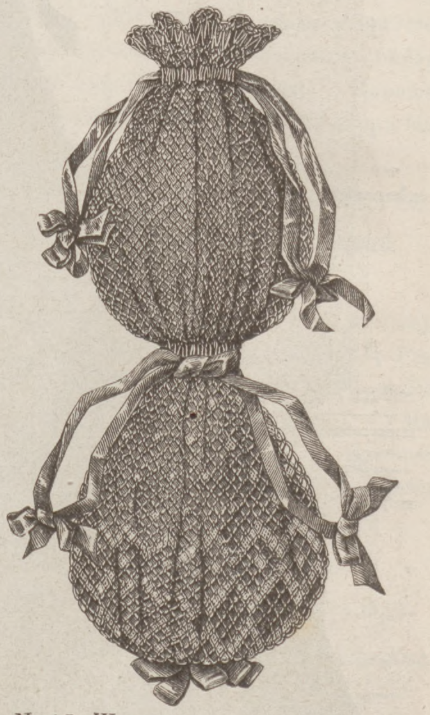
N. 13. Woreczek do cedzenia farbki.



N. 16. Cylinder do prania koronek.

N. 31—32. Ubranie wizytowe i chustka kaszmirowa.

Suknia odpowiednia na wizyty oddawane w ciągu dnia odszyta jest z materyału wełnianego gładkiego w deseń adamaszkowy. Kirasowy stanik ma rękawy sięgające do łokci, zakończone koronkowemi falbankami i kokardami. Kreza z gazy jedwabnej przewiązana wstążką z długo spuszczonemi końcami. Rękawiczki o kilku guziczkach dochodzą aż do łokci. Kapelusz taki sam jak na ryc. 34 i 33. Jako okrycie służy chustka kaszmirowa koloru carginal zdobna szlaczkiem haftowanym kolorowemi jedwabiami lub włóczką w guście indyjskim, podług ry. 32 załączającej deseń w naturalnej wielkości. Frendzla zakończająca brzegi wysiepana jest na 8 cent. szerokości.



N. 17. Woreczek na szpilki od bielizny i drobiazgi.

N. 33. Suknia z luźnym kaftanikiem. Odpowiedni krój kaftanika patrz na ryc. 32 w N. 32.

Letnie to ubranie wykończone jest z dwojakiego materyału: spódnica zdobna plisowaniem i stanik są z gładkie-



beżu koloru crême, zaś długa tunika i kaftaniczek bez rękawów są z materyału ażurowego z gładką wypustką w koło brzegów i frendzlą. Krój kaftaniczka podany był w N. 32 Tygodnika; przody dają się szersze lub węższe odpowiednio do tego jak szeroko kaftanik ma się rozchodzić. Kokardy z szerokiej repsowej wstążki.

N. 34. Kapelusz z rondem mocno wywiniętem z jednego boku.

Tenże sam fason z przodu i z boku przedstawiają ryciny 31 i 33; model załączony na ryc. 34 przedstawia kapelusz z białej słomki przybrany blado-różowym repsem i girlandą z ciemnych liści, białych stokrotek, konwalji i kłosów. Główkę otacza przewinięty pod girlandą skos repsu 14 cent. szeroki; układ pukli z tyłu wykazuje ryc. 34. Sute podpięcie z repsu i kwiatów dopełnić można podług ryciny 31 i 33.



N. 21. Kaftanik do spódnicy ryc. 23. Patrz plecy r. 22.



N. 25. Stanik i tunika podpięta beduinowo do sukni ryc. 4.

Przepisy kuchenne.

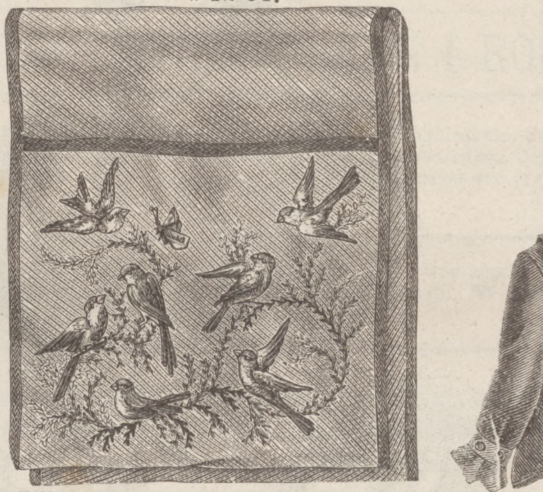
Ogórki kwaszone na zimę.

Na zimową konserwę wybierają się ogórki średniej wielkości, nie pękate lecz długie i zielone: beczuka na ogórki przeznaczona, powinna mieć dno z dziurą, aby ręka się w niej zmieścić mogła, a do niej powinien być przypasowany czop. Skoro to wszystko jest w pogotowiu, kładą się ogórki w spore naczynie, żeby dość przestronnie leżały, polewają się gotowaną wodą, w której trochę się ich zostawia, poczem przekładają do zimnej wody i w tej także trochę poleżeć mają. Dno baryłki następnie się wyściela dębowemi, wiśniowemi, winogronowemi i chrzanowemi liśćmi, potrząsa pieprzem całym ogórki czysto obtarte i osuszone układają się warstwami, przesypując koprem, pieprzem chrzanem w kostkę krajanym, trochą czosnku i takiemiż jak wyżej liśćmi przekładają: tak się czyni aż beczułka napełni się należycie bacząc aby ostatnia warstwa była z liści i korzeni. Wodę należy przegotować z solą, której do czterech kop sporych ogórków wziąść około 3 funt. gdy się ta zagotuje, odstawić, kilka razy dobrze wymieszać, aby sól się zupełnie rozpuściła, a potem wystudzoną i sklarowaną zalać ogórki, tak, aby na wierzchu stanęła, denko zabić szczelnie, szpunt mocno wpasować i smołą oblać, aby koło niego nie sączyło, i tak urządzone ogórki wstawić do suchej piwnicy i co tydzień przewracać baryłkę. Chcąc je brać do użycia, trzeba najprzód obskrobać smołę, żeby przy odbijaniu nie dostała się do środka, potem czop dobyć, lecz po wyjęciu ogórków napowrót wpasować.

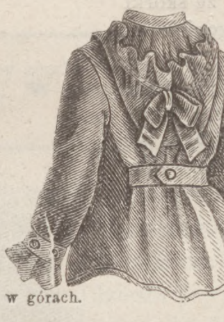
Korniszony.

Korniszony włożyć do wody zimnej źródlanej i dobrze osolonej, aby tak

N. 19. Koronka do teki na rękawiczki. Patrz ryc. 24. w N. 34.



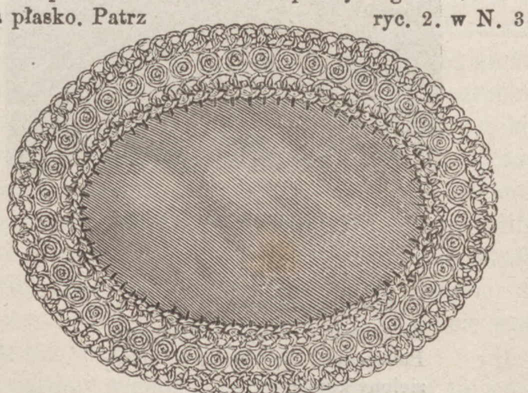
N. 20. Torebka na zapasy żywności w czasie przejażdżek w górach. Patrz ryc. 1 w N. 34.



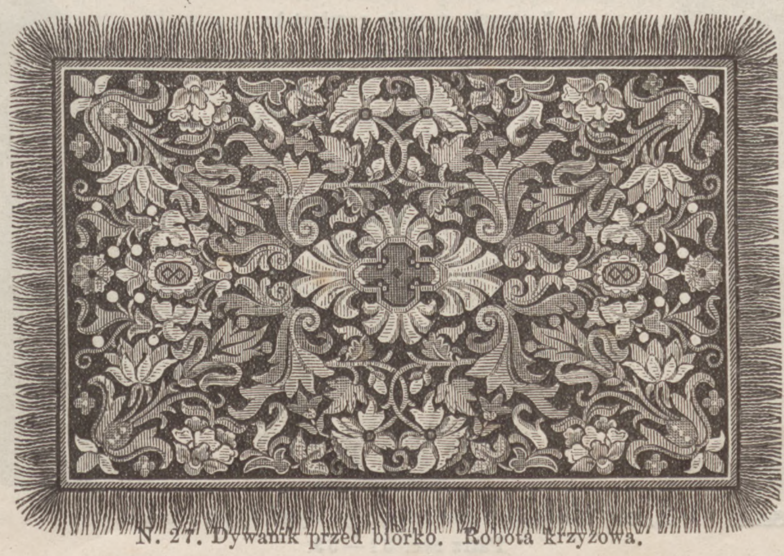
N. 22. Kaftanik do ryc. 23. Patrz przód ryc. 21.



N. 23. Spódnica do ubrania na spacery w górach. Rozłożona płasko. Patrz ryc. 2. w N. 34.



N. 24. Patarafka na stolik lub umyw. Patrz r. 10 w N. 34.



N. 27. Dywanik przed biórko. Robota krzyżowa.



N. 26. Vêtement formą princesse skośno zapinane.



N. 28. Negliż i czepeczek.

postały 24 godzin; później obetrzeć ostrożnie cienką serwetą aby skórki nie uszkodzić i tak obtarte włożyć w wazę z korzeniami, to jest: trochę pieprzu, angielskiego ziela, imbiru, goździków, kilka drobnych cebulek ze skórki obranych, wąsów z winogron i cokolwiek młodego zielonego kopru:

Na to wszystko wlewa się winny ocet przegotowany i zupełnie wystudzony i tak powinny stać dni dwa; drugiego dnia odlewa się ocet, zagotowywa i wrzący wlewa się na korniszony, powtórnie powinny tak stać dwa dni, potem wlewa się wszystko razem w rądel, i raz, ale bardzo ostrożnie, zagotowywa a gdy trochę przestygną należy zaraz włożyć w naczynia w których mają zostać przez zimę obwiązawszy starannie pęcherzem i papierem.

Kładąc korniszony w słoje po przegotowaniu, dobrze jest włożyć do nich jabłka surowe, kwaskowate pokrajane w ćwiartki ze skórką.

Szczaw marynowany.

Szczaw ogrodowy użyty na konserwę, zbiera się w Sierpniu. Liście ocierają się z piasku i układa w naczynie do tego przeznaczone, przysypuje solą, przykrywa denkiem i naciska kamieniami. Tak się da świeżo i długo przechować. Podobnież się urządza młody zielony koper.

Nasturcja w occie zamiast kaparów.

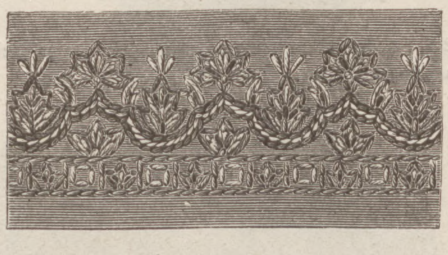
W miarę jak pączki nasturcji dochodzić będą wielkości kapara, ściąć je, również jak nasienie w zielonych torebkach zamknięte, posolić jedne i drugie miałką solą na godzin 3, napełnić niemi potem słoik, dodać estragonu, ząbek czosnku, nalać octem, przegotowanym z korzeniami, ostudzonym i czysto sklarowanym. A że trudno ich od razu tyle zebrać, można je dokładać po trochu, aż do dopełnienia słoika, zawsze jednak przez dobę poprzednio trzymać w soli. Nasturcja taka bardzo podobna do kaparów zastąpić je może dobrze w sosach i sałatach.



N. 29. Kołnierzyk i krawatka.



N. 30. Stanik do wieczorowego ubrania dla młodych panienek.



N. 32. Szlaczek do chustki ryc. 31.



N. 31. Ubranie wizytowe i chustka kaszmirowa. Szlak patrz ryc. 32.



N. 34. Kapelusz z rondem mocno wywiniętem z boku Patrz ryc. 31—33.



N. 33. Suknia z luźnym kaftanikiem.